

ZOFIA SOKOLEWICZ
(1932-2020)



Fot. 1. Prof. Zofia Sokolewicz. Kadr z filmu *Jeden świat Zofii Sokolewicz* (realizacja M. Małanicz-Przybylska, P. Rożek, 2017; archiwum Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW)

Zbigniew Jasiewicz

jasezb@amu.edu.pl

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

ETNOŁOŻKA Z WIELOMA KLUCZAMI W RĘKU. O PROFESOR ZOFII SOKOLEWICZ

Profesor Zofia Sokolewicz to etnolożka. Ważne było jej *Wprowadzenie do etnologii* (1974) oraz zredagowany przez nią wybór tekstów *Etnologia* (1969) i, później, *Metody etnologii* (1981). To ona, jako pierwsza w Polsce, w roku 1984 zmieniła nazwę kierowanej przez siebie Katedry Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego na Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej. Dodała antropologię kulturową, bo była także antropolożką, znawczynią antropologii brytyjskiej i francuskiej, odkrywającą nurty antropologiczne w historii nauki polskiej i promująca w swej działalności myślenie antropologiczne. Poprzednio, w latach 60. była etnografką, jak my wszyscy z pokolenia powojennego. Opublikowała m.in. *Wstęp do etnografii Afryki* (1968), dokument także naszej niewygasłej ciekawości świata, nawet wówczas, kiedy drogi do niego były zamknięte. *Wprowadzenie...*, *Wstęp...*, *Metody...*, *Podstawowe modele...* i wiele innych prac podejmujących kluczowe dla dyscypliny sprawy świadczy o tym, jak bardzo była zaangażowana w umacnianie pozycji dyscypliny i tworzenie programów jej studiowania. „Klucze”, „wiele kluczy” to metafora, którą posłużyła się w wywiadzie opublikowanym w „Ludzie” (t. 95, 2011) dla wyrażenia swojej fascynacji możliwościami różnego poznawania rzeczywistości tworzonymi przez różne strategie i orientacje teoretyczne oraz formy działania. Klucze te otwierały Zofii Sokolewicz dostęp do kolejnych, jakże zróżnicowanych, przedmiotów i problemów badawczych – od pługów i organizacji pracy w gospodarstwie wiejskim i jej związków z rytuałami, przez historię etnologii polskiej, po modele nauki, sprawy dziedzictwa kulturowego, wspólnot wyobrażonych i społeczeństwa oby-

watelskiego. Pozwalały włączyć do zainteresowań różne tereny: Kurpie, Bretanię, kraje afrykańskie, Mongolię, Bułgarię oraz Europę widzianą jako przestrzeń integracji kulturowej. Zachęcały do podejmowania nowych form działalności: laboratoriów jako sposobu kształcenia studentów etnologii, programowania uniwersytetu otwartego, organizowania i kierowania Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego. Pobytu na Zachodzie i kontakty z tamtejszymi antropologami, a także własne przekonania, zwróciły jej uwagę na znaczenie metodologii. Śledziła z uwagą nowe sposoby badań, dostrzegając ucieczkę powojennej etnologii polskiej od rozważań teoretycznych, dowodziła konieczności równowagi między empirią a teorią, pisała o niezbędności teorii. W dyskusji nad tym, czy etnologia/antropologia jest *science*, czy *art*, nie opowiadała się zdecydowanie po żadnej ze stron. Wspominała swoje dawne zainteresowanie naukami przyrodniczymi:

Kiedyś entuzjazmowałam się nagrodą Nobla dla chemika Ilyi Prigogine'a. (...) Zresztą fascynacja osiągnięciami nauk eksperymentalnych i ścisłych stosunkowo często zdarzała się u nas, w historii antropologii: B. Malinowski, A. R. Radcliffe-Brown, E. R. Leach, C. Levi-Strauss, u nas Poniatowski. I v-versa - inspiracje ze strony humanistyki, prace m. in. Latourea o laboratoriach i zależności języka science – laboratoryjnego – od języka naturalnego (wiadomość e-mail z 20 marca 2019 roku).

Jej poszukiwania w zakresie historii polskiej etnologii i własne prace metodologiczne przeciwstawiały się zaściankowości etnologii polskiej, miały dowiedzieć, że etnologia ta jest częścią antropologii światowej.

Oboje należeliśmy do powojennego pokolenia etnologów. Podobne w nas były jednak tylko praca na uniwersytecie i studiowanie na Uniwersytecie Jagiellońskim, nie w tym samym zresztą czasie i o odmiennym statusie. Zofia, po trzech latach studiów, w latach 1953-1955, już ze stażem zastępcy asystenta w katedrze na Uniwersytecie Warszawskim, stała się uczestniczką drugiego stopnia studiów pięcioletnich specjalizacji etnograficznej realizowanego w Krakowie i pisała pracę magisterską pod kierunkiem prof. Moszyńskiego. Była przygotowana, aby korzystać z możliwości tworzonych przez środowisko krakowskie. Moja sytuacja była inna. Byłam absolwentem prowincjonalnego gimnazjum, w Krakowie studiowałam w roku akademickim 1951/52 na pierwszym roku jednolitych studiów czteroletnich historii kultury materialnej, walcząc

o fizyczne przetrwanie, krąg moich doświadczeń był zawężony. Miałem, co prawda, wykłady z prof. Moszyńskim i ćwiczenia z dr Klimaszewską i dr Kutrzebianką, ale nie zetknąłem się z prof. Dobrowolskim, a nawet nie słyszałem o nim. Różniły nas środowiska rodzinne i uniwersyteckie – warszawskie i poznańskie – odmienni mistrzowie, wiedza zdobyta za granicą (Zofia była jedynym na przełomie lat 50. i 60. etnologiem polskim wyjeżdżającym na stypendia do Londynu i Paryża), podejmowana problematyka badawcza i sposoby jej uprawiania. Kontakty nasze długo były rzadkie. Zbliżyły nas starania o zachowanie autonomii studiów etnologicznych i praca w Komitecie Nauk Etnologicznych PAN stworzonym przez prof. Bursztę.

Nawiązanie ściślejszej więzi, a także przyjaźni, nastąpiło jednak w ostatnich latach, kiedy obydwójce byliśmy już emerytami. Połączyło nas stałe zainteresowanie sprawami etnologii/antropologii i angażowanie się w nie w dostępnych dla nas formach. Kontakty ułatwiła poczta elektroniczna. Wymienialiśmy się informacjami o naszych działaniach, uwagami o sprawach istotnych dla dyscypliny, napisanymi tekstami przed ich publikacją. Listów internetowych było wiele, odpowiedź niekiedy pojawiała się tego samego dnia. Tak bardzo właściwa dla Zofii wielość kluczy, którymi się posługiwała i które były wyrazem cechującej ją pasji poznawania świata i w nim uczestniczenia, nadal kazała jej zajmować się kolejnymi sprawami ważnymi dla antropologii/etnologii i pozwalała na przekazywanie interesujących o nich uwag. Napisała: „(...) mam poczucie uciekającego czasu. I, niestety, wciąż wielką ciekawość świata, a w tym historii naszego środowiska i tego powolnego dochodzenia do rozumienia różnych spraw” (e-mail z 27 września 2018). Nie była dogmatyczna: „Jestem po stronie Michała [Buchowskiego – Z. J.], jeżeli chodzi o wolny wybór tradycji antropologicznej. Te »klatki« mnie denerwują” (20 marca 2019). Pozostała ciekawa nowych idei. Podzieliła się zainteresowaniem wizją humanistyki cyfrowej:

(...) tworzonej przez humanistów z informatykami, programistami i szeregiem specjalności, o których nie wiedziałam, że istnieją. (...) Ciekawe, w jakim języku będą się porozumiewali? Czytałeś? Jak to sobie wyobrażasz? Sądziłam, że mam wyobraźnię, ale się myliłam. To już nie tylko zmiana paradygmatu. (...) czuję się bezradna wobec tej wizji, chciałabym, ale nie mogę jej zrozumieć.

Korzystała z dyskusji z kolejnymi generacjami „młodych”:

Dziś mieliśmy w Instytucie świąteczne spotkanie i moi młodzi koledzy wyłumaczyli mi na czym polega ta humanistyka cyfrowa i jaki z niej może być pożytek (18 kwietnia 2019).

Historią etnologii/antropologii polskiej Zofia interesowała się od dawna. Długie i pełne ważnych prac dzieje dyscypliny uważała za jeden z argumentów pozwalających bronić jej odrębności. W 102 tomie „Ludu” z roku 2018 ukazał się, napisany razem z Joanną Koźmińską, artykuł: *Pierwszy tom „Ludu”. Manifest programowy antropologii/etnologii polskiej*. Również ja przygotowałem do tego tomu, ogłoszonego w roku poprzedzającym rocznicę odbudowy państwa polskiego, tekst przedstawiający początki etnologii w nowych warunkach samodzielnego bytu państwowego. Wymienialiśmy się uwagami o naszych artykułach przed ich opublikowaniem. Zaproponowała przysłanie kopii listu Cezarii Baudouin de Courtenay z jej podróży w roku 1913 z Petersburga do Warszawy. Zauważyła: ”Popatrz, jak różnie odbieraliśmy historię. To dobrze, że piszemy wspomnienia. Dodajemy tej historii trochę krwi i mięsa. Jeżeli ktokolwiek będzie chciał to czytać – może po wielu latach, inne pokolenie” (3 października 2018).

Przedmiotem wymienianych przez nas uwag stał się także, umieszczony w tymże tomie 102 „Ludu”, dobrze udokumentowany artykuł Filipa Wróblewskiego *Studium Historii Kultury Materialnej (1950-1956). Kontekst polityczny, ideologiczny i gospodarczy „likwidacji” etnologii w Polsce*. Zainteresował nas nie tylko dlatego, że omawiał studium, którego obydwójce byliśmy absolwentami. Dostarczał dowodów na to, co od dawna intrygowało Zofię: jak różnie może być przedstawiana przeszłość przez opisujących ją badaczy nie tylko z różnych generacji, ale również o odmiennych osobowościach, jak różne mogą być języki tego opisu. Stwierdziła: „(...) czytając tekst Filipa miałam wrażenie, że czytam o średnio mi znanym, by nie powiedzieć, nieznanym kraju. (...) my porozumiewaliśmy się innym językiem” (26 grudnia 2018).

W przeszłości polskiej etnologii ważna była osobowość tworzących ją uczonych, istotna zresztą również dzisiaj. Zofię zastanowiło podkreślenie przeze mnie, w wystąpieniu na Zjeździe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Łodzi w roku 2018, poświęconym pamięci naszej koleżanki profesor Bronisławy Kocpzyńskiej-Jaworskiej, różnicy w pochodzeniu

społecznym uczonych kierujących katedrami etnografii w Łodzi i Poznaniu. Informowała: „Twój referat wzbudził zainteresowanie ze względu na charakterystykę stosunków poznańsko-łódzkich” (27 września 2018). Kontynuowała w kolejnym liście:

Ale przyznam się, że nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zastanawiać się nad pochodzeniem Burszty. Czy to jego, czy to Twój kompleks? Jeśli zastanawiałam się nad jego osobą (nigdy nad pochodzeniem), to jakoś mi „nie pasowało”, że Katedrę Etnografii obejmie ktoś ze środowiska historyków, spod znaku Szczotki. Chodziły słuchy o intrygach przeciwko Frankowskiemu. (...) Zawsze uważałam Bursztę za człowieka opatrnościowego, który próbował scalić środowisko (8 października 2018).

Rzeczywiście, dla mnie, programowo nastawionego na niwelację różnic społecznych, do tego także regionalnych/dzielnicowych, tak niegdyś ważnych, które obserwowałam również we własnej rodzinie i odczuwałam osadzony w swojej „pознаńskości”, różnice te były istotne w kształtowaniu osobowości, a poprzez nią w działalności naukowej. Pytałem Zofię: „Kiedy przymkniesz oczy i pomyślisz, to ile jest w Tobie panienki z inteligenckiej, warszawskiej rodziny?” (8 października 2018). Odpowiedziała: „Ja nigdy nie myślałam o »ludzie«. Lud to był symbol przedmiotu badań, a ja, po prostu, jechałam na wieś spotkać się z chłopami. Dla mnie to była wieś i chłopci. Trochę inny świat. Tak inny jak Afryka” (9 października 2018). Afryka nie miała tu sensu wartościującego, nie służyła porównaniom. Oznaczała równouprawnienie różnych kultur, objęcie ich wspólnym mianownikiem, jedność świata. Zastanowił mnie „chłop”. W Poznańskim i na Pomorzu słowa „chłop” tutejsi etnografowie nie używali, ani w mowie, ani w piśmie. Byli włościanie, później rolnicy, gospodarze, niekiedy, z pewną dozą dystansu, ale i uznania, bambrzy czy bauerzy. Ich świat był bliski, pozbawiony egzotyki, podobny do miejskiego. Stąd chyba mała atrakcyjność etnografii tworzonej przez miejscowych badaczy i niechęć przybyszy (Bystroń, Frankowski) do badań na tym terenie. Potrzeba było Oskara Kolberga, z Królestwa i z Galicji, autora siedmiu tomów *Wielkiego Księstwa Poznańskiego* oraz, w wiek po nim, Józefa Burszty, z Galicji, z przygotowaniem historycznym i socjologicznym, inicjatora i redaktora trzech tomów *Kultury ludowej Wielkopolski*, aby docenić znaczenie ludowej, może lepiej – tradycyjnej kultury wsi tego terenu. W tym samym liście Zofia: „dzisiejsze pokolenie do historii etnografii – przynaj-

mniej w Warszawie – ma, nazwijmy to delikatnie, dystans. Nikt dobrowolnie nie chce prowadzić tego przedmiotu”. W późniejszym liście zajęła się wydarzeniem istotnym w tej historii:

I jeszcze historia – spytaj, proszę, Jacka Ż. [Żakowskiego – Z.J.], ale ja się doczytałam na tej jego wystawie, że inicjatywa powołania Polskiego Tow. Etnologicznego (Czekanowski, Frankowski) z 15 października 1921, została zatwierdzona postanowieniem Ministerstwa Spraw Wewn. 21 grudnia 1921. Tempo! (3 czerwca 2019).

W naszej korespondencji zajmowaliśmy się jednak przede wszystkim bieżącymi wydarzeniami i aktualną sytuacją etnologii. Zofia nie mogła już uczestniczyć w konferencji związanej ze 100-leciem Instytutu Etnologii w Poznaniu, przekazała list odczytany przez Annę Brzezińską, o czym informowałem w e-mailu z 17 kwietnia 2019 roku. Zaniepokojenie wzbudził w nas sposób potraktowania uprawianej przez nas dyscypliny w nowej *Ustawie z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce* i towarzyszącym jej *Rozporządzeniu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 20 września 2018 r. w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych oraz dyscyplin artystycznych*. Etnologia została usunięta z listy dyscyplin, w dziedzinie nauk humanistycznych pojawiły się natomiast, jako dyscyplina, „nauki o kulturze i religii”. W liście z 30 listopada 2018 roku pogratulowałem Zofii tekstu *Reforma przeciw różnorodności*, przygotowanego dla „PAUzy Akademickiej”. Po jego ukazaniu się napisałem:

(...) przed chwilą przeczytałem Twój tekst w „Pauzie”. Trafny i potrzebny. Moi koledzy pocieszają się, że brak nazwy dyscypliny nie wpłynie na organizację studiów. Ustawa mówi jednak w art. 5.2. „Kształcenie prowadzi się w dziedzinach nauki i dyscyplinach naukowych” (14 grudnia 2018).

Odpowiedziała:

Dziękuję za dobre słowo. Trochę się nad tym napracowałam, aby było krótko i na temat (20 marca 2019).

Informowałem Zofię o listach z protestami przeciwko usunięciu etnologii z listy dziedzin i dyscyplin naukowych MNiSW wystosowanych przez American Anthropological Association, International Union of

Anthropological and Ethnological Sciences i SIEF (Société Internationale d'Ethnologie et Folklore): „Listy organizacji światowych, które zamieszcza Wojciech Dohnal [w t. 102 „Ludu” – Z.J.], wywołane przez Michała [Buchowskiego – Z.J.], dobre” (13 grudnia 2018). Zofia przekonywała: „On [Michał Buchowski – Z.J.] ma żal, że zaakceptowaliśmy [na Uniwersytecie Warszawskim – Z.J.] te cholerne nauki o kulturze i religii. To też na przeczekanie” (12 grudnia 2018). Potwierdziłem: „I u nas pewne zaniepokojenie wywołała Rada ds. nauki o kulturze, nie rozumiano, że jest to rada jednego uniwersytetu [Warszawskiego – Z.J.]” (13 grudnia 2018). Obydwoje zgadzaliśmy się z tym, że zaniedbaliśmy starania o społeczny wizerunek naszej dyscypliny.

W sytuacji trudnej dla etnologii/antropologii Zofia uznała Polskie Towarzystwo Ludoznawcze za instytucję ważną. Zainteresowana była inicjatywą zgłoszoną we Wrocławiu:

Monika Baer zgłosiła najpierw powołanie sekcji antropologii społecznej, potem skorygowała projekt na antropologię krytyczną. (...) Rozumiem, że to próba utrzymania profilu antropologii społecznej w środowisku, po decyzji [o] włączeniu nas do kulturoznawstwa. (...) Liczyłam na to, że powstanie sekcja antropologii, może być krytycznej, ale na tyle ogólnej, by wszyscy znaleźli w niej miejsce. To będzie chyba jedyne miejsce, gdzie będziemy mogli być antropologami, w każdym razie przez pewien czas kryzysu. Próbuję dyplomatycznie namówić Monikę na dodanie do projektu paru zdań rozszerzających, doceniam jej zaangażowanie. (...) I liczyliśmy na PTL jako ostatnią szansę zachowania ciągłości w naszej dyscyplinie. A tu masz babo placek (12 grudnia 2018).

Zofia, podobnie jak ja, zaangażowała się w sprawę zmiany nazwy Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego: „Zgadzam się na Towarzystwo Etnologiczne, choć gdyby to były Nauki Etnologiczne, to byłoby to bardziej »inkluzyjne«” – napisała 17 kwietnia 2019. Dzień później kontynuowała: „Ania [Engelking – Z.J.] sądzi, że byłoby dobrze, gdybyśmy napisali razem list do Zgromadzenia Ogólnego, a przedtem do Zarządu. Żeby wzmocnić potrzebę zmiany. (...) Dziękuję za tę uwagę o oddolnej potrzebie dziedzictwa, swojskości. To ważne i może tłumaczyć część lęków przed zmianą nazwy” (18 kwietnia 2019).

Minęło półtora miesiąca:

Nie odzywałam się, bo miałam trochę trudnych dni. (...) Sprawę zmiany nazwy odłożyłam ad Kalendas Graecas. Ale zadzwoniła Kasia Majbroda, nie naciskając, ale z zapytaniem o ten nie wysłany list. (...) Otóż sądzę, że nastąpiło zasadnicze pęknięcie między ośrodkami akademickimi a oddziałami lokalnymi. (...) Wyizolowaliśmy się. Oddziały lokalne, w tym duża część muzealnictwa, kontynuowała zasiane przez Moszyńskiego ziarno obiektywnego faktu. (...) Co tam teorie. One są dla pięknoduchów. Pamiętam takie dyskusje. Dziś przekonanie „terenu”, że różnimy się pięknie, a moglibyśmy się pięknie uzupełniać, może być bardzo trudne (3 czerwca 2019).

Tego samego dnia odpisałem, uzasadniając potrzebę zmiany nazwy:

Nowość w sytuacji polega na tym, że wykształciliśmy po wojnie kilka tysięcy absolwentów etnologii, duża część z nich nigdy nie zapisze się do Towarzystwa Ludoznawczego. Nie znaczy to jednak, że mamy lekceważyć amatorów, pracujących w terenie, moim zdaniem nazwa Towarzystwo Etnologiczne powinna ich przyciągać a nie odpychać (3 czerwca 2019).

Zofia była poruszona wynikiem głosowania w sprawie zmiany nazwy Towarzystwa w oddziałach:

Ostatnio rozmawiałam z paroma osobami, długo z Anią Engelking przy okazji zebrania oddziału. (...) Obie byłyśmy zaskoczone wynikami tak jednoznacznego głosowania w oddziałach. (...) Różnice międzyśrodkowe narosły i są głębsze niż myśleliśmy. (...) Nad sklejeniem tego rozdźwięku czeka nas duża praca i to powinno być zadanie dla przyszłego Zarządu”.

W tymże liście odradzała mi wystąpienie na Walnym Zgromadzeniu z wnioskiem dotyczącym zmiany nazwy: „Obawiam się, że Twój wniosek o zmianę może wzbudzić wielkie emocje. (...) Emocje sprzyjają kłopotom, a PTL potrzebny jest teraz bardzo rozsądny Zarząd, zdolny wręcz do poświęcenia 4 lat, nawet osobistym kosztem” (2 lipca 2019).

Odpowiedziałem:

Po referendum nie zamierzam stawiać wniosku o głosowanie w sprawie zmiany nazwy na Walnym Zgromadzeniu. (...) Wyobraźmy sobie sytuację, że doprowadzamy do głosowania i wygrywamy, a później, w następstwie działania części niezadowolonych członków i nieudolności zarządu pojawia się zapaść. Tracimy znane stare a nie wypracowujemy lepszego nowego (5 lipca 2019).

Po czterech dniach e-mail Zofii:

Dla mnie jednak sprawa zmiany ujawniła ważne pęknięcie w naszym środowisku. (...) Nie odpowiedziałam od razu, bo znalazłam się nagle w szpitalu. (...) Już wróciłam, ale wyniki będę miała dopiero w końcu lipca. Do tej pory pewien stan niepokoju. Zapewne i z tego powodu będę mniej emocjonalnie podchodziła do spraw środowiska naszego (9 lipca 2019)

I w końcu ostatni e-mail z września 2019 roku:

Przez jakiś czas będę poza komputerem. Po prostu jadę na 6 minimum tygodni do szpitala onkologicznego w Wieliszewie k. Legionowa (ok. 30 km. od Warszawy) na radioterapię. Ot, przyplątało się coś, co się zdarza i trzeba to wyprosić. Jestem dobrej myśli, gotowa do przyjęcia tego, co Bóg postanowił a niezbadane są Jego wyroki.

I zaraz w następnym zdaniu:

Myślę, że sytuacja naszej dyscypliny pogarsza się, bo mają likwidować kierunki i nas też. Nie potrafiliśmy uzasadnić, że jesteśmy potrzebni. Ale jeszcze nadzieje nasz czas. Musi (2 września 2019).

Potem były już tylko rozmowy telefoniczne, mówiła o wyjściach do ogrodu i urodzie rosnących tam drzew. Także o ważnych dla niej sprawach etnologii. Jak bardzo, również w szpitalu, Zofia żyła sprawami naszej nauki, przekonała się Joanna Koźmińska, współautorka z Zofią artykułu opublikowanego w „Ludzie”. W liście do mnie wspominała:

Podstawą artykułu był referat na Jubileusz PTL we Lwowie, który rodził się w bardzo szczególnej sytuacji, w czasie rekonwalescencji po operacji biodra Pani

Profesor. W szpitalnej scenerii, niewiarygodnym upale, niesłychanej dzielności w obliczu cierpienia i niesprawności, Pani Profesor dała mi lekcję życia, której nie zapomnę. W czasie wakacji, wędrując przez Beskid Niski, otrzymywałam szereg SMS-ów od Pani Profesor w sprawie rodzącej się koncepcji referatu (19 lutego 2020).

Kiedy zadzwoniłem, już po powrocie Zofii z kliniki, dnia nie pamiętam, przerwała rozmowę, mówiąc, że czuje się słaba. Powiedziała: „Zadzwoń później”. Nie zadzwoniła.

Anna Engelking
annaalbertyna@gmail.com
Instytut Sławistyki
Polska Akademia Nauk

JAK PAMIĘTAM PROFESOR ZOFIĘ SOKOLEWICZ

„Pani Profesor, bo my tu wszyscy mamy kompleks Wielkiej Matki” – te słowa jednego ze starszych kolegów, wypowiedziane podczas zebrania studentów z kierowniczką Katedry, Profesor Sokolewicz, mocno utkwily mi w pamięci. Musiało to być w gorączkowym okresie Solidarności, kiedy na Uniwersytecie, nie bez udziału etnografów, tworzyło się NZS. Jako początkująca adeptka etnografii byłam pod wrażeniem tego żartu i obecnych w nim ziaren prawdy – dowodu bliskości starszych roczników z Panią Profesor. Mnie samą dzielił wówczas od niej hierarchiczny dystans z domieszką lęku, tym bardziej że bodaj nie wszystko z jej wykładów – „Wstępu do etnologii”, a później „Teorii kultury” – rozumiałam. Także z rozważań, które snuła podczas poniedziałkowych czterech godzin laboratorium etnograficznego; temat formalnie dotyczył krajobrazu kulturowego Mazowsza i Podlasia, ale faktycznie często błądziliśmy dość daleko od niego, słuchając antropologicznych dygresji, do których pretekst stanowiły najnowsze lektury „Zofii”. Tak o niej mówiliśmy; musiała oczywiście o tym wiedzieć. A może nawet sprawiało jej to przyjemność? W przewisku, którego funkcję pełni oficjalna forma imienia, zawiera się obok innych sensów także przecież szacunek.

Na studia do Katedry Etnografii UW trafiłam w okresie rozkwitu „nowej etnografii”. Fascynowały nas zajęcia z Jerzym Wasilewskim, później seminarium ze Zbyszkim Benedyktowiczem i prywatne, organizowane w mieszkaniach, z Ludwikiem Stommą. W Katedrze unosił się duch współczesnej, aktualnej antropologii, mimo iż byliśmy zamknięci granicami PRL-u. Ceniono tu dyskusję i nieautorytarne relacje ze studentami. Przyjmowaliśmy to wszystko jako oczywiste; po prostu „tak było na

etnografii”. Wątpię, czy przychodziło nam do głowy, że nie byłoby ani tej antropologicznej burzy i naporu, ani bezpiecznego pola do naszego buntu i konspirowania w latach 80., gdyby nie przyzwolenie, intelektualna inspiracja, zachęta i dyskretny parasol ochronny Pani Profesor. Te aspekty rozumie się i docenia po latach, kiedy człowiek dojrzały i bogatszy o własne doświadczenia już wie, jak ważną rolę w każdej instytucji odgrywa osoba lidera, wyznawane przez niego wartości i atmosfera, jaką kreuje.

Pani Profesor uczyła w sposób nieoczywisty; miałam trudność z przyswajaniem jej wykładów, nadążaniem za tokiem wywodu – żeby później zdać sobie sprawę, ile od niej brałam, niejako nasiąkając antropologią przez swoistą osmozę. Była umiejętną akuszerką naszych pierwszych (a z biegiem lat kolejnych) naukowych pomysłów. Nawet te najdziwniejsze przyjmowała z otwartością, pokazując, że dla antropologa wszystko jest ciekawe, a jednocześnie ucząc samokrytyki i kierując ku samodzielności. Niewątpliwie to jej przede wszystkim zawdzięczamy to, że po 1989 roku mogliśmy nie mieć kompleksów wobec antropologii zachodniej.

Jedną z jej tajemnic tkwiła w tym, że była ciekawa swoich studentów – jako osób myślących i jako ludzi – i niezależnie od przepastnej różnicy w wiedzy rozmawiała z nami jak z równymi. Interesowała się nami, i w czasie studiów, i po nich; macierzyński aspekt jej osobowości doskonale współgrał ze społeczną rolą, jaka przypadła jej w udziale.

Miała głęboko zinternalizowane poczucie antropologicznej wspólnoty. Obejmowała troską wszystkie polskie ośrodki i instytucje etnologiczne; troska ta przejawiała się w działaniu, inicjatywach, decyzjach, do których miała mandat z racji pełnionych funkcji i z racji swego autorytetu. Zawsze myślała w kategoriach dobra i przyszłości całego, ogólnopolskiego środowiska, zawsze też interesowała się poszczególnymi etnologami i ich drogą naukową i życiową. Przyjaźniła się też z wieloma etnologami i etnologami spoza Warszawy, w tym z młodszymi od siebie o jedno czy dwa pokolenia. To niepartykularne podejście i myślenie w kategoriach zintegrowanej całości przekazywała nam niepostrzeżenie, jako rzeczy oczywiste, niepodlegające kwestii. Przez długie lata było to dla mnie przezroczyste jak powietrze; musiałam chyba uważać, że po prostu etnologia w Polsce „tak ma”, że jej poczucie wspólnoty przewyższa to znane mi z innych środowisk. Później zrozumiałam, że stoi za nim świadomość, wola, wysiłki – wielu osób, ale Profesor Sokolewicz w stopniu bez wątplenia znaczącym, a dla mnie formującym.

Troska Pani Profesor o dziś i jutro polskiej etnologii/antropologii spletała się z jej szczególnym zadomowieniem w historii naszej dyscypliny. Najbliższa była jej „Pani Cezaria”, do której nie tylko często nawiązywała w wykładach i prywatnych rozmowach, ale także poświęciła jej biografii i dorobkowi kilka tekstów. Miała zresztą okazję poznać ją osobiście podczas swego pobytu na stypendium w Londynie pod koniec lat pięćdziesiątych. Podkreślała rolę „Pani Cezarii” jako założycielki Katedry Etnografii Polski na Uniwersytecie Warszawskim i czuliśmy, że ta linia genealogiczna – od profesor Cezarii Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowej przez profesora Witolda Dynowskiego (nazywanego przez nią zawsze „Profesorem”) do profesor Zofii Sokolewicz – ma dla niej osobiste znaczenie. Dziejom etnologii w ośrodku warszawskim poświęcała z biegiem lat coraz więcej uwagi. Do rangi symbolu urasta w tym kontekście fakt, że jej ostatnim publicznym wystąpieniem był wykład „Nasi Profesorowie: Cezaria Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa i Stanisław Poniąkowski. O różnorodności teorii etnologicznych w okresie międzywojennym”. Wygłosiła go w listopadzie 2016 roku na zebraniu Oddziału Warszawskiego PTL, gdy wręczaliśmy jej dyplom honorowej członkini Towarzystwa.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość antropologii w Polsce była stałym i głównym motywem naszych rozmów. Od samego początku (który dla tej historii przypada na rok 1992) wspierała moją pracę nad upowszechnieniem wiedzy o Józefie Obrębskim i publikacją jego pism. Dzwoniłyśmy do siebie nawzajem z konkretnymi pytaniami dotyczącymi czy to postaci naszych etnograficznych przodków, czy jakichś archiwaliów, czy wydarzeń z przeszłości – co często przeradzało się w moje słuchanie opowieści wspomnieniowych Pani Profesor. Do likwidacji etnologii jako dyscypliny akademickiej w Polsce w 2018 roku, choć niepokoiła się możliwymi negatywnymi tego konsekwencjami, miała stosunek spokojny; akt ten widziała jako odwracalny, zawsze w perspektywie historycznych losów etnologii polskiej. Sama swoją drogę antropologiczną na UW zaczęła wszak jako studentka etnografii, funkcjonującej wówczas pod nazwą „historia kultury materialnej”.

Z działań na rzecz środowiska nie czuła się zwolniona przez emeryturę. Jednym z przykładów tego jej zaangażowania jest odbudowanie w 2013 roku Oddziału Warszawskiego PTL, który wcześniej faktycznie przestał funkcjonować. Cierpliwie, drogą rozmów, doprowadziła do odrodzenia jego struktur i działalności. Później sama aktywnie uczestniczyła w życiu Oddziału (a także Sekcji Metodologicznej PTL, którą współza-

kładała) – była obecna na zebraniach, a poza nimi inspirowała, doradzała, patronowała przedsięwzięciom. Ostatnie zebranie, w którym wzięła udział, w marcu 2019 roku, dotyczyło projektu zmiany nazwy Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Proponując zmianę na „Polskie Towarzystwo Nauk Etnologicznych i Antropologicznych PTL”, mówiła z jednej strony o tradycji, z drugiej – o konieczności dostosowywania się do nowych realiów w otoczeniu społeczno-instytucjonalnym. I o tym, że „nasza siła płynie z jedności, a słabość z podziałów”.

Żyła antropologią. Do ostatnich dni zachowała charakterystyczną dla siebie żywą ciekawość. W rozmowach, zainspirowana posthumanistyką, wracała na nowo do tematu granic między kulturą a naturą – od którego, jak pamiętam, zaczynał się jej wykład dla I roku. Do końca czytała. Także prace swoich uczniów. Podczas naszej ostatniej rozmowy, trzy tygodnie przed śmiercią (jej głos był silny, ożywiony, mówiła: „Słyszysz przecież, że się dobrze czuję”), mówiła o swoich wrażeniach z lektury *Pod klątwą* Joanny Tokarskiej-Bakir.

Niesłychanie imponował mi sposób, w jaki przez ostatnie lata starała się naprawiać to, co uważała za swoje dawne błędy. Mówiła o tym wprost, bez eufemizmów. Odchodziła bardzo świadomie i przygotowywała się do odejścia. Silne oparcie dawały jej wiara i modlitwa, o czym również nie wahała się mówić otwarcie.

Zawdzięczam Pani Profesor znacznie więcej niż tylko antropologiczną tożsamość. Dzisiaj brak jej czujnej, uważnej i czulej obecności, której doświadczałam, nie przestaje być dojmujący.



Fot. 2. Prof. Zofia Sokolewicz podczas badań terenowych w Mongolii
(archiwum Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW)

Katarzyna Majbroda

katarzyna.majbroda@uwr.edu.pl

Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej
Uniwersytet Wrocławski

PROFESOR ZOFIA SOKOLEWICZ W MOJEJ PAMIĘCI

Jako studentka we wrocławskiej Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej nie miałam okazji poznać osobiście Pani Profesor Zofii Sokolewicz. Odkrywałam ją stopniowo poprzez lektury, z których wyłaniał się obraz wielkiej erudytki, wnikliwej obserwatorki życia kulturowo-społecznego w jego rozmaitych aspektach. Dla mnie najciekawsze i najbardziej wymagające były w tym czasie artykuły Pani Profesor, w których podejmowała zagadnienia teoretyczne i metodologiczne istotne z punktu widzenia metarefleksji etnologii i antropologii społeczno-kulturowej. Tak więc moje pierwsze wyobrażenie o Pani Profesor Zofii Sokolewicz klarowało się w toku czytania jej publikacji, które wtedy odbierałam jako trudne, aktualne, a jednocześnie zakorzenione w jakiejś odległej przeszłości, w określonych tradycjach dyscypliny, które nie były dla mnie w tamtym czasie do końca jasne. Nie miałam okazji uczestniczyć ani w warszawskich zajęciach, ani w seminariach prowadzonych przez Profesor Zofię Sokolewicz, wspominanych dzisiaj z wielką nostalgią przez jej uczennice i uczniów, ale po kilku latach miało to się zmienić.

Wszystko zaczęło się od konferencji pt. „Obserwatorki z wyobraźnią. Etnograficzne i socjologiczne pisarstwo kobiet”, którą zorganizowałyśmy wraz z profesor Grażyną Kubicą w kwietniu 2011 roku w Muzeum Etnograficznym im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu. Przyświecała nam idea konsolidacji środowiska polskich antropolożek i antropologów dostrzegających konieczność i wagę przypominania nietuzinkowych postaci kobiet, które poprzez swoją działalność naukową i instytucjonalną współtworzyły historię dyscypliny. Profesor Zofia Sokolewicz wyraziła chęć wzięcia udziału w obradach, a następnie przygotowała do tomu

Obserwaterek artykuł poświęcony Cezarii Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowej. Wkrótce, w toku korespondencji związanej z przygotowaniem tekstu wystąpienia do druku, Pani Profesor zaproponowała mi włączenie się do badań nad nieodnalezionym dotąd dorobkiem etnografki, podając wskazówki i tropy dotyczące dalszych badań i kwerend archiwalnych. Głównym celem archiwalnych poszukiwań miał być Londyn i Polski Uniwersytet na Obczyźnie, a potem Instytut Sikorskiego. 18 czerwca 2012 roku, przygotowując projekt kwerendy badawczej, spotkałam się w Warszawie z Panią Profesor, która przez kilka godzin w zajmujący sposób opowiadała mi o bogatym życiu naukowym i prywatnym Cezarii Baudouin de Courtenay. Wtedy zrozumiałam, że łączy ją z „Profesorem Cezarią” nie tylko szczególna więź intelektualna (wydaje mi się, że Profesor czuła się spadkobierczynią jej myśli), lecz także swoista solidarność kobiet-naukowczyń, prekursorok nowatorskiego myślenia o zakresach i perspektywach badań antropologicznych; ta więź była także porozumieniem ciekawych świata, silnych osobowości. W wyniku spłotu kilku okoliczności przygotowany projekt kwerendy nie miał swojego ciągu dalszego. Po kilku miesiącach przekazałam Pani Profesor kopie korespondencji Cezarii Baudouin de Courtenay z Adamem Fischerem, która znajduje się we wrocławskim archiwum Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.

Profesor Sokolewicz miała nadzieję, że może odnajdą się tam odbitki prac etnografki, które zwykła wysyłać swoim znajomym, może ślady napisanej po rosyjsku i wydanej w roku 1913 w Petersburgu książki *Albania i Albańcy*, o której słuch zaginął, a może *Echa stosunków polsko rosyjskich w bylinach ruskich*. Niestety, mogłam jej przekazać jedynie trudne do odczytania „rozmyte fale” kreślone w korespondencji ręką „Profesora Cezarii”. Jednak pamiętam, że ucieszyła się z otrzymanych notek, listów i pocztówek wysyłanych przez etnografkę do A. Fischera.

Profesor Zofia Sokolewicz myślała o Cezarii Baudouin de Courtenay nie tylko w kontekście naukowym, wyraźnie zajmowała ją biografia badaczki, a także jej rozległe zainteresowania i znajomości pozwalające na odtworzenie obrazu świata, w którym funkcjonowała. Pamiętam, jak podczas WZD PTL w Poznaniu rozmawiałyśmy o Anieli Gruszeckiej, pisarce, serdecznej krakowskiej przyjaciółce „Pani Cezarii”. Jakiś czas potem Pani Profesor napisała do mnie z charakterystycznym dla siebie entuzjazmem i poczuciem humoru:

Biuro PTL przesłało mi wiadomość o wydaniu *Obserwatorek*. Cieszę się. Od tego czasu dowiedziałam się wielu nowych rzeczy o Cezarii i kręgu jej znajomych. Przeczytałam nareszcie Gruszeckiej *Przygodę w nieznanym kraju* i jestem zachwycona! Po Krakowie chodziły o niej wieści, że jest postrachem wszystkich milicjantów, bo rozbija się swym samochodzikiem, łamiąc wszelkie przepisy i prawie do końca nie oddała prawa jazdy, a żyła 92 lata!. Nie podejrzewałam też jej, że tak malarsko potrafi oddać złożone relacje między kobietą a kobietą. Wystąpić przeciwko konserwatywnemu środowisku krakowskiemu to coś więcej niż postawić milicjanta do pionu. I co za przepiękny, obrazowy język. Rozumiem pełen zachwyty list Cezarii – chyba go nawet cytuję w *Obserwatorkach* (6 marca 2015).

Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że to właśnie dzięki postaci „Profesor Cezarii”, zajmującej niezwykle ważne miejsce w myśli i praktyce badawczej Pani Profesor, miałam sposobność znalezienia się wśród osób tzw. młodego pokolenia, z którymi Profesor dzieliła się swoimi rozważaniami o antropologii, podsuwając określone lektury i delikatnie, czasem jakby mimochodem, ukierunkowując nasze poszukiwania naukowe. Potem miałam okazję prowadzić takie rozmowy również bezpośrednio, ale najczęściej w korespondencji mailowej. Przed kolejnym spotkaniem w Warszawie napisałam do Pani Profesor, iż bardzo ciekawa jestem jej zdania na temat zwrotu literackiego w dyscyplinie. Zgadając się na rozmowę o interesującej mnie wówczas kwestii, Pani Profesor odpowiedziała mailowo w takich słowach:

Ja nie jestem zwolenniczką tego, co nazywam tekstualizacją antropologii, czyli tej literaturyzacji. Ale niewątpliwie *Writing Culture*, z pewnym opóźnieniem, ale wywołała ferment w antropologii. Zdecydowanie większy od tego, który mógł znacznie wcześniej wywołać Hayden White. Może współpraca z historykami nie była zbyt bliska; zresztą nie wszyscy z nich brali te narracyjne rozważania do serca. Chętnie o tym porozmawiam. Uprzedzam jednak, że jestem zwolenniczką performansu! (9 lipca 2012).

Tak właśnie pamiętam sposób, w jaki Pani Profesor wyrażała swoje poglądy naukowe lub prowadziła dyskusję; nawet jeśli nie zgadzała się z jakąś teorią lub koncepcją, zawsze podejmowała się jej krytycznej rozbiórki z właściwą sobie otwartością na bardzo różne style praktykowania nauki i rozmaite koncepcje teoretyczne. Do dzisiaj nie wiem,

w jaki sposób udawało się jej wytwarzać atmosferę rozmowy „równego z równym” mimo ogromnej różnicy wiedzy, przemyśleń i doświadczeń. Jej społecznie wrażliwa inteligencja, przenikliwość i wszechstronność myślenia były wręcz onieśmielające, ale jej dar postrzegania złożoności wielu spraw oraz umiejętność kierowania uwagi osób poszukujących inspiracji na kwestie, zdawałoby się, odległe zachęcał do podejmowania nowych tropów badawczych.

W taki sposób Pani Profesor uczestniczyła w życiu Sekcji Metodologicznej PTL, będąc jedną z jej matek założycielek. Pierwsze spotkanie naszej Sekcji odbyło się w Warszawie i Pani Profesor Sokolewicz wraz z profesor Anną Engelking była jego gospodynią. Potem przez lata wspierała nas swoją charyzmatyczną obecnością, a przede wszystkim otwierającymi pytaniami, które czasem zbijały nas z tropu, budziły kontrowersje i prowokowały do dyskusji. Przez lata funkcjonowała jako intelektualna patronka naszych spotkań. Ponieważ kolejne zjazdy Sekcji miały charakter wędrujący i tak, jak dzieje się to aktualnie, odbywały się w różnych polskich miastach i ośrodkach antropologicznych, z czasem Pani Profesor nie brała w nich już udziału osobiście, ale zawsze współtworzyła z nami wątki przewodnie dyskusji, stawiając ważne pytania, proponując określone kierunki rozważań. Wspierała nas swoją myślą, czemu dawała wyraz przed każdym spotkaniem Sekcji Metodologicznej. W jednym z maili z troską o jasność pewnych pojęć pisała:

Otóż w programie Zjazdu lubelskiego znalazłam informacje o spotkaniu sekcji (b. dobrze!) z niepokojącym sformułowaniem, że przyjrzycie się „zdaniam etnograficznemu”! Otóż mam poważne wątpliwości, czy istnieje taka kategoria jak zdania etnograficzne. Niech Pani przyjrzy się jakiemukolwiek ze swoich tekstów. Są tam zdania obserwacyjne i zdania analityczne, zdania ściśle ogólne etc. Ale nie ma zdań etnograficznych! Po prostu nie ma takiej kategorii. To nie zmienia faktu, że etnografowie układają swoje spostrzeżenia i myśli w zdania. Ja bym proponowała temat „jaki status poznawczy mają zdania formułowane przez etnografów?” Proszę, przemyślcie sobie to (19 sierpnia 2014).

Kiedy indziej, kierując naszą uwagę na kwestie nikłej metodologicznej refleksji w rozważaniach i badaniach antropologicznych, dzieliła się swoimi spostrzeżeniami:

Dziś podchodzimy do większości badanych problemów w sposób interdyscyplinarny. Z tego wynika, że inspirujemy się teoriami wszelkich nauk i przenosimy je na nasz grunt nieraz bezrefleksyjnie, lekceważąc ich założenia, cele, swobodnie dokonując trawestacji języka teoretycznego etc. Coraz częściej też przyjmujemy rezultaty badań innych dyscyplin za fakty! – tak jakby istniały w próżni, a nie były wynikiem skomplikowanych nieraz zabiegów teoretycznych. Z tym ostatnim spotykam się często, pracując nad kontekstami kulturowymi praw człowieka. Z tym drugim spotykam się, czytając różne prace „po sąsiedzku”, na przykład, z zarządzania. Właśnie staram się przebrnąć przez interesujące skądinąd zastosowanie teorii archetypów C. G. Junga do wyjaśniania strategii zarządzania przyjmowanych przez różnych managerów. Ciekawy, ale mocno kontrowersyjny pomysł. Jeżeli więc myślicie, że DEFICYT METODOLOGICZNY to sprawa istotna w warsztacie każdego z nas, to poświęćcie mu trochę uwagi a ja będąc sercem z Wami, wrócę do mojej pisaniny na ten temat. Jednym z oskarżonych w moim tekście jest C. Lévi-Strauss! (6 kwietnia 2016).

Innym jeszcze razem, całkiem niespodziewanie, Pani Profesor napisała:

Czytając Ingolda, przypominałam sobie życiorys Boasa, który początkowo, jako fizyk, był za science, potem zmienił zdanie i robił to chyba 2 lub 3 razy! Jest coś w nas takiego, co umyka generalizacji, ale jednak wciąż próbujemy, bo nie zadawalają nas wnioski „art”, które w sumie są na poziomie jednostkowym. Uciekamy od jednostki, ale ona stale wchodzi nam w drogę! Przemyszę jeszcze przez dzień, dwa tematy metodologiczne i napiszę (2 stycznia 2019).

W licznych swoich przemyśleniach dotyczących kwestii poznania Pani Profesor zwracała uwagę na konieczność rozważenia poszerzonej wizji tego, w jaki sposób mogą przebiegać procesy powstawania wiedzy naukowej, zachęcając do uważnej analizy nie tylko tego, jaka jest rzeczywistość, ale także tego, jak powstają jej rozumienia, obrazy, reprezentacje; słowem – jak jest współtworzona i praktykowana oddolnie przez konkretnych ludzi i konkretne społeczności w wielu kontekstach.

W naszej korespondencji mailowej Pani Profesor przysyłała co pewien czas pisane przez siebie artykuły lub ich fragmenty, kolejne numery „*PAU-zy Akademickiej*”, w których polecała konkretne wypowiedzi, a także elektroniczne wersje rozmaitych tekstów antropologicznych. Kiedy teraz o tej wymianie publikacji i refleksji wokół nich myślę, dostrzegam w tej praktyce coś na kształt prowadzonej na odległość dyskusji seminaryjnej.

Za każdym razem, kiedy odbierałam taką wiadomość, miałam poczucie współuczestniczenia w czymś ważnym, w jakiejś drobnej części szeroko zakrojonej, rozwijanej przez nią edukacji antropologicznej, która stanowiła jedno z najważniejszych i niezmiennie nurtujących ją zagadnień. Przenikliwość uwag Profesor Sokolewicz zostawała ze mną na długo.

Kilkakrotnie miałam sposobność porozmawiać z Profesorem o zainicjowanym przez nią, utworzonym w 1986 Studium Kształcenia Otwartego na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Studium to, kierowane przez Profesora do 1996 roku, od 1998 roku funkcjonowało jako Centrum Otwartej i Multimedialnej Edukacji (COME), a od 2018 roku nosi nazwę Centrum Kompetencji Cyfrowych UW (CKC UW). Kategoria otwartości wpisana w tę ewoluującą edukacyjną ideę bardzo dobrze pokazuje myślenie Pani Profesor o potrzebie egalitaryzacji wiedzy w życiu społecznym, dając świadectwo jej przekonaniu o konieczności wzmacniania demokratycznej, obywatelskiej wspólnoty gotowej na dialog i wymianę myśli. Gdy w 2018 w ramach PTL powstała Pracownia Edukacji Otwierającej, Pani Profesor przyjęła tę inicjatywę z dużym entuzjazmem, mówiąc o potrzebie sieciowania działań edukacyjnych. Wspierała nas w tym przedsięwzięciu, uznając, że antropologia powinna angażować się w aktualne problemy społeczne, również poprzez działania zupełnie fundamentalne – np. edukację ludzi o otwartych, ciekawych świata umysłach.

W kwietniu 2019 roku odebrałam przesyłkę od Pani Profesor – były to materiały dotyczące edukacji otwartej rozwijanej w University of Sussex i University of London (Department of Extra-Mural Studies): publikacje, broszury informacyjne, oferty dydaktyczne z lat 80. i 90. Do przesyłki dołączona była pocztówka, na której Pani Profesor napisała: „w Londynie zaczęło się moje myślenie o społeczeństwie otwartym, edukacji ludzi o otwartych umysłach. Ciągnij to dalej, co sił, bo warto” (3 kwietnia 2019). Do wątku tego Pani Profesor powróciła dwa miesiące później; w przesłanym smsie pisała: „Co by było, gdyby przyjąć, że celem edukacji otwartej jest formowanie integralnego człowieka? Trzeba by uruchomić wyobraźnię i nieźle pogłównkować, a więc do roboty!”.

Zapamiętam Panią Profesor jako ciepłą i wspierającą osobę, jako Mentorkę gotową do współbycia w myśleniu, pełną autentycznej ciekawości drugiego człowieka. Stanowczą, charyzmatyczną, odważnie wyznaczającą kierunki myślenia o polskiej antropologii w kontekstach światowych; broniącą swojego zdania przy jednoczesnej otwartości na cudze argumenty. Pamiętam Ją jako antropolożkę o wyostrzonym zmyśle uwagi, widzącą szeroko, horyzontalnie, nie tracącą przy tym z pola uwagi rzeczy drobnych, codziennych; do końca troszczącą się o jedność środowiska antropologicznego w Polsce.

Pisząc to wspomnienie, z trudem godzę się na formę „była”. Pani Profesor Zofii Sokolewicz przynależy czas teraźniejszy i przyszły. Jest bowiem Wielką Humanistką, głęboko zapisaną w pamięci i wspomnieniach otaczających ją ludzi oraz w historii współtworzonej przez nią nauki. Jej inwencyjne, nowatorskie, pełne ciekawości świata myślenie zawsze skierowane było ku temu, co aktualne, jednocześnie wychylając się ku przyszłości.

Lech Mróz

l.mroz@uw.edu.pl

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej
Uniwersytet Warszawski

W ZASADZIE UFAŁA. WSPOMNIENIA O PROFESOR ZOFII SOKOLEWICZ

Moje wspomnienia muszą się ograniczać do opisu pewnych sytuacji i poszczególnych obrazów, bowiem nie sposób opisać w krótkim, kilkunastu-stronicowym tekście długiego, ponad sześćdziesięcioletniego kontaktu (od rozpoczęcia moich studiów etnograficznych, w roku 1959 do roku 2020 – roku śmierci Profesor Sokolewicz). Kontakt, którego charakter zmieniał się z upływem lat i zmianami statusu i wzajemnych relacji, uwarunkowaniami zewnętrznymi – nie ograniczającymi się tylko do Uniwersytetu Warszawskiego, lecz do sytuacji politycznej w kraju, a także spraw zupełnie prywatnych, domowych, które również wpływały na życie w obrębie uczelni. Pamięć indywidualna jest, gdy funkcjonuje się w grupie, pamięcią zawierającą opowieści i odczucia innych. Jest więc, w odniesieniu do różnych podzielanych doświadczeń, pamięcią wspólną. Dlatego przywołując pewne odległe w czasie sytuacje, mówię nie tylko o swoim wspomnieniu i obserwacji, lecz także o odczuciach koleżanek i kolegów z mojego roku.

Tym, co psuło nam przyjemność studiów etnograficznych, była statystyka. Ówczesna zastępczyni kierownika Katedry, profesora Witolda Dynowskiego, a od niedawna doktor Zofia Sokolewicz uznała, że etnograf powinien mieć przygotowanie z zakresu statystyki. Chodziliśmy więc na ćwiczenia ze statystyki, razem z trzecim rokiem socjologii, z narastającym przekonaniem, że nie ma to sensu i nic z tego nie będzie. Z prostej przyczyny. Nasi koledzy z socjologii, nim zabrali się za statystykę, mieli w roku poprzedzającym zajęcia z wprowadzenia do statystyki, czyli poznawanie matematycznych podstaw statystyki. Prowadzący zajęcia także

uważał, że nasza obecność na ćwiczeniach nie gwarantuje pożytku z zajęć. Poprosiłem w imieniu grupy (byłem starostą roku), by dr Sokolewicz przyszła na te zajęcia i sama przekonała się, że nasza niechęć nie wynika z fanaberii lub lenistwa, lecz z braku odpowiedniego przygotowania. Niestety dr Sokolewicz nie przyszła, choć była umówiona. W desperacji udałem się do dziekanatu, mówiąc, że mamy kłopoty ze statystyką. Od sekretarki dziekana usłyszałem: to jest przedmiot do wyboru, pani doktor zdecydowała, że będziecie chodzić na statystykę, lecz macie prawo wyboru.

Kilkoro z nas chodziło dodatkowo na wykład ze sztuki ludowej, prowadzony przez prof. Ksawerego Piwockiego. Nie był to wykład obowiązkowy dla naszego roku. Ustaliliśmy wspólnie, że ja spróbuję pierwszy przystąpić do egzaminu, a potem awizować indeks. Prof. Piwocki zalecił mi lekturę, a po tygodniu z oceną bardzo dobrą udałem się do dziekanatu z prośbą o awizowanie indeksu. Po kilku dniach odebrałem indeks z wpisem zaliczenia roku. Zgodnie z umową tą samą drogą poszły kolejne trzy osoby. Troje, lękając się dr Sokolewicz, by nie postąpić nie tak, jak sobie życzyła, próbowało uparcie zaliczyć statystykę. Kosztowało ich to powtarzanie roku i prywatne korepetycje, dzięki którym w następnym roku zdali. Tylko jedna dziewczyna zdała w terminie pierwszym, ale ona, zanim przyszła na etnografię, studiowała na Politechnice Warszawskiej i zaliczyła tam rok studiów. To była najprzykrzejsza sytuacja na całych moich studiach. Jeśli dr Sokolewicz miała pretensje do mnie, że nie podporządkowałem się, nie dawała tego odczuć.

Z tego dawnego czasu moi rówieśnicy pamiętali, choć dzisiaj nie wszyscy żyją, że dr Sokolewicz niejednakowo traktowała studentów. Szczególnie nie lubiła dwóch naszych koleżanek. Co jakiś czas stwierdzała, że one nie pasują do tych studiów, choć były dobrymi studentkami, i że pomoże im zmienić wydział. Po wakacjach nie było już ich z nami, zostały przeniesione na socjologię, którą ukończyły; jedna z nich pracowała na tym wydziale do emerytury, druga w wydawnictwie. Interesowały się etnografią, żałowały, że nie jeżdżą z nami w teren, a zmuszenie do przeniesienia traktowały jako niezasłużoną krzywdę.

Czas i zmiany życiowe, coraz większe zaangażowanie dr Sokolewicz w różne projekty badawcze i organizacyjne, bardzo zmieniły stosunek do studentów i współpracowników.

Po magisterium rozpocząłem pracę w Muzeum Kultur Ludowych w Warszawie (późniejsze Państwowe Muzeum Etnograficzne), w Dziale

Kultur Pozaeuropejskich, którego kuratorem była prof. Maria Frankowska z Poznania. Wcześniej prof. Frankowska prowadziła także wykłady w warszawskiej Katedrze. Wspierając aktywność pracowników, nie czyniła trudności, bym prowadził w godzinach pracy zaproponowane mi przez prof. Dynowskiego zajęcia w Katedrze (ćwiczenia z filmu etnograficznego).

W dziesiątym roku mojej pracy w PME spotkałem na schodach muzealnych prof. Sokolewicz. Powiedziała, że na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, Filii w Białymstoku (później wyrósł z tej filii Uniwersytet Białostocki) chcą zatrudnić etnografa. Prof. Sokolewicz spytała, czy nie zgodziłbym się podjąć tam pracy. Umówiła mnie z prof. Andrzejem Wyrobiszem, dziekanem tego wydziału, bym porozmawiał z nim, obejrzał uczelnię i rozważył przejście do Filii UW. Prof. Frankowska, pod której opieką przygotowywałem pracę doktorską, nie czyniła trudności. Od 1976 raz w tygodniu jeździłem na dwa dni do Białegostoku na zajęcia. Dlatego o tym mówię, że z moim przejściem do białostockiej Filii UW wiąże się zaangażowanie w różne prace Katedry Etnografii UW i bliższa współpraca z doc. dr hab. Zofią Sokolewicz, a od tamtego roku (1976) profesorem nadzwyczajnym.

Jeszcze w trakcie moich studiów, po ukończeniu roku trzeciego, profesor Dynowski zabierał mnie na organizowane przez Katedrę tzw. Międzyuczelniane Obozy Etnograficzne. Ten pomysł profesora realizowany był od połowy lat 50. Ideą było spotkanie w trakcie dwutygodniowych praktyk terenowych studentów po pierwszym roku ze wszystkich ośrodków akademickich, gdzie prowadzone były studia etnograficzne. Dzięki temu poznawaliśmy kolegów z innych ośrodków i pracowników, którzy przyjeżdżali razem z nimi, by opiekować się poszczególnymi grupami w trakcie pobytu. Należy dodać, że zaraz po przyjeździe tworzone grupy terenowe, w każdej byli studenci z różnych ośrodków.

Od początku pracy w Białymstoku zaangażowany byłem w organizację tych obozów. Wprawdzie już od października 1973 roku doc. Sokolewicz powołana została na stanowisko Kierownika Katedry Etnografii po rezygnacji prof. Dynowskiego, lecz to on nadal był faktycznym kierownikiem tych obozów. Ja zajmowałem się organizacją i dbaniem, by wszystko działało. Profesor spacerując z fajką pytał, czy nie mam jakichś problemów, otwierał obóz inauguracyjnym wykładem i zamykał go. Prof. Sokolewicz nie angażowała się w sprawy obozu, czasami wpadała na jakiś czas i dopiero gdy po powrocie do Warszawy składałem dokumenty rozliczenia wydatków, podpisywała je przed oddaniem do kwestury.

W roku 1980 wiosną uzyskałem stopień doktora (na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, z którą to uczelnią związana była moja promotor, prof. Maria Frankowska; recenzentami byli profesorowie Witold Dynowski i Józef Burszta). Teraz organizowanie obozów i kierowanie nimi było moją powinnością i tak było aż do ostatniego obozu w roku 1986. Cały czas miałem bliski kontakt z prof. Sokolewicz, a zarazem całkowitą swobodę i nie przypominam sobie ani jednego zadrażnienia w trakcie tej współpracy.

Zatytułowałem to wspomnienie „W zasadzie ufała”. Jest to rodzaj zastrzeżenia, wynikającego z ograniczoności mojej wiedzy. Natomiast mogę stwierdzić, nie tylko na swoim przykładzie, że widoczna była zasadnicza cecha jej stosunku, w tym okresie, do współpracowników, czyli zaufanie. Wkrótce po podjęciu pracy w Białymstoku zacząłem prowadzić moją pierwszą grupę laboratoryjną. Pojawiały się różne pomysły tematów grup, lecz prof. Sokolewicz chyba nigdy nie odrzuciła niczyjego projektu, nim nie upewniła się, że nie spełnia on warunków wymaganych od realizacji dwuletniego projektu badań.

Jeszcze w latach 70. uruchomiony został Centralny Program Badań Podstawowych. W jego ramach realizowany był Problem węzłowy: 11.1. Polska Kultura Narodowa. Jej Tendencje Rozwojowe i Percepcja. Podtematem 1.1. Folklor i Etnografia kierowała prof. Sokolewicz. Przywołuję tę informację, bowiem włączenie się do tego programu dawało możliwość prowadzenia własnych badań, wyjazdów w teren, zatrudniania studentów do prac terenowych. To był ważny stymulator aktywności własnej. Zaufanie prof. Sokolewicz było koniecznym warunkiem uczestniczenia i realizacji własnych pomysłów. Posiadła prof. Sokolewicz ogromnie cenną, a jednak nie tak powszechną cechę niemówienia nie. Raczej starała się pomóc, służyć radą w razie wątpliwości.

Wydaje mi się (z oczywistych względów moja wiedza jest niepełna), że tylko dwukrotnie w ciągu kilku lat jej zaufanie zostało nadużyte, bowiem efekty pracy nie były odpowiednie do nakładów finansowych i czasowych.

Doświadczeniem szczególnie trudnym dla prof. Sokolewicz był stan wojenny. Trudnym ze względów osobistych (represje wobec syna) i troski o Katedrę i współpracowników. Zaangażowała się w różne formy pomocy prześladowanym, których wyrzucono z uczelni, i internowanym. Dotyczyło to także mnie.

W roku 1981 studenci Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego Filii w Białymstoku wybrali mnie na prodziekana. Gdy

w maju 1982 r. studenci mojego wydziału postanowili stanąć na korytarzu przed dziekanatem w milczącej, pięciominutowej manifestacji, protestując przeciwko zakazowi uczczenia 3 maja (władze stanu wojennego usunęły to święto z rejestru świąt państwowych), zapytali, czy stanę z nimi. Skoro mnie wybraliście, to moją powinnością jest być z wami. Minęło niewiele czasu, pewnie zaledwie około pół godziny (donos nie wymaga długiego czasu), gdy zjawili się prorektor wraz z komisarzem, by zakomunikować mi, że zostałem zawieszony w swoich obowiązkach, także wykładowcy. Wkrótce potem, chyba po upływie dwóch dni, otrzymałem pismo z informacją, że decyzją prorektora zostają usunięty z uczelni. Odwołałem się do nowego rektora UW (mianowanego po usunięciu prof. Samsonowicza), jako władzy zwierzchniej, i do Senatu. Senat nie podtrzymał decyzji prorektora Filii, przywracając mnie do pracy. Wówczas prorektor poinformował Senat, że usunięto mnie nie z przyczyn politycznych, lecz dlatego, że na Wydziale Humanistycznym nie jest potrzebny etnograf. Prorektor Filii był pedagogiem, specjalistą od szkół wiejskich, klas 1-4 i być może nie bardzo wiedział, co to jest etnografia. W konsekwencji rektor UW poinformował władze Filii, że skoro nie jestem tam potrzebny, to, wraz z etatem, przenosi mnie na Wydział Historyczny UW.

Po tym wyjaśnieniu wracam do osoby prof. Sokolewicz. Zaraz po usunięciu mnie z uczelni, nim jeszcze zapadła decyzja o przeniesieniu mnie do Warszawy, zadzwoniła profesor Anna Zambrzycka-Kunachowicz, kierownik Katedry Etnografii UJ, proponując pracę, bo akurat ma wolny etat. Byłem zaskoczony i wzruszony szybkością reakcji i chęcią pomocy. O mojej sytuacji dowiedziała się od prof. Sokolewicz. Pojechałem na rozmowę do Krakowa, zdecydowany tam pozostać. Decyzja rektora o przeniesieniu mnie na Wydział Historyczny spowodowała, że zostałem w Warszawie. Prof. Sokolewicz zwróciła się do dziekana wydziału o skierowanie mnie do Katedry Etnografii.

Kilka lat później, w przerwie podsumowania grup laboratoryjnych, stałem z prof. Sokolewicz w hallu, koło sali im. Brudzińskiego, gdy pojawił się prof. Niemiec, ów prorektor czasu stanu wojennego. Wyraźnie ucieśzony spytał: „Dzień dobry, poznaje mnie pan?”. „Oczywiście – przecież to pan mnie wyrzucił z Filii w Białymstoku” – odpowiedziałem. Stracił ochotę do dalszej rozmowy i odszedł. Natomiast prof. Sokolewicz była wyraźnie rozbawiona naszą wymianą zdań.

Rygory stanu wojennego stopniowo zelżały, można było myśleć o wyjazdach. Wówczas studenci Studium Afrykanistycznego zaczęli przygo-

towować długą wyprawę do Afryki. Prof. Sokolewicz (która w tym czasie nie pełniła tam już żadnej funkcji) wspierała przygotowania. Także inni studenci Katedry (potem zmieniła nazwę na Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej) postanowili wyruszyć. Zaczęło się od wyprawy do Indii (w roku 1984), potem inna grupa wyruszyła do Afryki. Bez zaufania i życzliwego wspierania prof. Sokolewicz, samą ochotą nie dałoby się zorganizować wyjazdów.

Przemiany, które zapoczątkował rok 1989, stały się dla Katedry możliwością prowadzenia badań tam, gdzie od roku 1939 nie było dostępu. Biurokracja nagle okazała się zbędna, administracja uniwersytecka nabrała niespotykanej śmiałości w podejmowaniu niestandardowych decyzji. Nie musiałem długo przekonywać prof. Sokolewicz, by wysłać studentów do Litwy, która otworzyła się, zrezygnowawszy z bycia częścią ZSRR. Niedługo po zniknięciu z Wilna czołgów radzieckich, w lipcu, pojechali studenci z trójką pracowników na Wileńszczyznę. To był początek wieloletnich badań w Litwie, potem na Białorusi, w innych krajach bałtyckich i wreszcie na Ukrainie. Gdyby nie zaufanie prof. Sokolewicz, jej akceptacja i firmowanie kolejnych pomysłów badań, nie byłoby możliwe zrealizowanie wielu z nich. Przecież chodziło o finanse i zapewnienie sensownego realizowania dydaktyki.

Pojawiły się możliwości ubiegania się o granty i finansowanie prac terenowych. Złożyłem wniosek jako pierwszy, przyznane na pięć lat finanse zapewniły kontynuowanie badań w Litwie i na Białorusi. Przez wiele lat z kolejnych grantów możliwe było wysyłanie grup laboratoryjnych do tych krajów.

Nie byłbym w stanie opisać codzienności i zaangażowania prof. Sokolewicz w dbałość o Katedrę i zarządzanie. Moje obserwacje, rozmowy, zapamiętane obrazy zlewają się w jeden ciąg stałego kontaktu i codziennego funkcjonowania Katedry, w którym prof. Sokolewicz jest stale obecna.

W 1999 roku, po 25 latach kierowania Katedrą, zrezygnowała. Nie z aktywności, bo nadal prowadziła wykłady i seminaria, lecz z administrowania. Na zebraniu pracowników zaproponowała moją kandydaturę. Od tamtego roku przez 13 lat sprawowałem funkcję kierownika Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, a po przekształceniu jej niedługo później w Instytut – dyrektora. To był czas samodzielności i zarazem życzliwego wspierania i nienarzucającej się obecności prof. Sokolewicz.

Po moim przejściu na emeryturę i nastaniu nowej dyrekcji nasze relacje, wcześniej bardzo dobre, jak je oceniam, zaczęły zmieniać się na gorsze.

W zasadzie ufała, jak zatytułowałem ten tekst. Teraz zaczęła ufać szeptanym skargom. Moje wyjaśnienia nie zdały się na nic, starała się w czasie kolejnych rozmów przekonać mnie o prawdziwości szeptanych oskarżeń. W końcu miałem dosyć. Napisałem do Profesor długi list odnoszący się do całości tych szeptanych skarg. Zakończyłem przypomnieniem, że podstawową powinnością badacza jest weryfikacja źródła i propozycją spotkania tak, bym bezpośrednio usłyszał przekazywane prof. Sokolewicz oskarżenia i odpowiedział na nie, a ona oceni sporne kwestie. Nigdy potem nie wróciła do tych wcześniejszych telefonów i przekazywanych oskarżeń. Znow mogliśmy kontaktować się i rozmawiać jak wcześniej.

Jesienią 2019 roku zadzwoniła profesor, znow informując o skargach, tym razem dotyczyły one innej osoby. Byłem akurat w Tokio. Powiedziałem, że ta skarga jest znow nierzetelnym przedstawieniem, które zupełnie inaczej postrzegam, znając przecież nieźle wydział. Zaproponowałem, że zadzwonię po powrocie. Profesor już nie wróciła do przerwanego wątku, rozmawialiśmy o ciekawszych i ważniejszych sprawach, o zbliżających się wyborach nowego składu i zarządu Komitetu Nauk Etnologicznych. Półtora dnia po ostatniej rozmowie zadzwonił syn profesor Sokolewicz z informacją o jej śmierci.

Moje wspomnienia o profesor Zofii Sokolewicz miały być własnym, pamiętanym obrazem. Z szacunku do niej i jej dokonań, nie potrzebujących upiększenia i hagiografii, rozpocząłem od sytuacji ze studiów i tego, co uznawaliśmy ja i moi koledzy z roku za niedobre. Zakończyłem także przywołaniem niemiłego, już własnego doświadczenia z ostatnich lat życia Profesor. Pomiędzy tymi datami mieści się kilkadziesiąt lat, prawie pół wieku, harmonijnego funkcjonowania, bardzo dobrych kontaktów i współpracy, bowiem: w zasadzie ufała, choć może nie zawsze zasadnie.

Paweł Lewicki

lewicki@europa-uni.de

Katedra Porównawczych Studiów Środkowoeuropejskich
Europa-Universität Viadrina

Helena Patzer

h.patzer@uw.edu.pl

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej
Uniwersytet Warszawski

O TOŻSAMOŚĆ DYSCYPLINY: KRYTYCZNE SPOJRZENIE NA RZECZYWISTOŚĆ. PROFESOR ZOFIA SOKOLEWICZ WE WSPOMNIENIACH

Profesor Zofia Sokolewicz odeszła niespodziewanie w styczniu bieżącego roku. To ogromna strata dla całego środowiska antropologicznego w Polsce i polskiej humanistyki. Najdotkliwsza jest ona dla współpracowników i uczniów profesor Sokolewicz, dla koleżanek i kolegów z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, którego dyrektorką i wykładowczynią była przez wiele lat. Nie będziemy tutaj szczegółowo opisywać zasług profesor Sokolewicz dla polskiej nauki, a także dla życia uniwersyteckiego i warszawskiej etnologii – czytelnicy z pewnością świetnie zdają sobie z nich sprawę, a my chcielibyśmy, żeby to wspomnienie było bardziej wspomnieniem o tym, kim była dla swoich uczniów i uczniów, czego uczyła i do czego wzywała.

Wspominamy profesor Zofię Sokolewicz, ponieważ na różne sposoby ukształtowała nasze myślenie o etnografii, etnologii i antropologii. Pośrednio wpłynęła też na nasze spojrzenie na otaczający nas świat, podejście do społeczności, w której żyjemy, zaangażowanie w życie społeczne i w naukę. Była dla nas wzorem naukowca zanurzonego w rzeczywistości, w której żyje. To zaangażowanie brało się z chęci zmieniania rzeczywistości, ale też z ciągle wyostrzonego spojrzenia na otaczające nas relacje władzy, spojrzenia inspirowanego przez Foucaulta i Bourdieu, których lekturą „zamęczała” nas w trakcie studiów. To wyostrzone spojrzenie wyrażało się nie tylko w zainteresowaniach badawczych, ale także w nacisku

na pielęgnację historii i osiągnięć polskiej antropologii i etnologii wobec mniej lub bardziej trwałych perspektyw epistemologicznych płynących z różnych stron świata – przede wszystkim z Zachodu. Jeśli spojrzymy na to, co pisała i mówiła profesor Sokolewicz, to zobaczymy, jak bardzo jej spojrzenie na antropologię zostało ukształtowane zarówno przez myśl zachodnich antropologów, jak i przez polskie badaczki i badaczy, jej nauczycieli i mistrzów.

Profesor Sokolewicz nieustannie pokazywała nam, że na zachodzące wokół nas zmiany społeczne należy spojrzeć „na zimno”, poddać je skrupulatnej analizie, nie ulegać emocjom – pogląd, z którym nieraz przyszło nam się mierzyć i spierać. Jednak ten dystans i analityczne spojrzenie sprawiały, że bardzo trafnie opisywała otaczającą rzeczywistość, widząc ją przez pryzmat teorii antropologicznych i socjologicznych. Wobec swoich doktorantów i magistrantów była wymagająca i surowa, jednak ta surowość ustępowała miejsca zaangażowaniu, gdy dyskusja schodziła na kwestie doboru odpowiedniej teorii i interpretacji materiału terenowego. W tym punkcie uruchamiała się jej antropologiczna wrażliwość i cały zasób narzędzi teoretycznych: zawsze potrafiła wskazać kolejne inspirujące teksty, odnieść analizowaną kwestię do klasyków, znaleźć słaby punkt przedstawionego rozumowania.

Jej zaangażowanie wyrażało się również w ciągłej aktywności instytucjonalnej, w organizowaniu nowych kierunków studiów, centrów naukowych, instytutów, w których jej głos był zawsze dobrze słyszalny. Można było się z nią nie zgadzać, ale nie można było jej nie słyszeć. Zapewne dlatego o profesor Zofii Sokolewicz wiedzieliśmy na długo przedtem, zanim jeszcze poszliśmy na jej wykłady z teorii kultury czy zajęcia dotyczące kulturowych kontekstów praw człowieka. Później, wraz z pogłębiającą się współpracą z Profesorem, najważniejsze stawały się rozmowy o interpretacji badań, o najnowszych kierunkach teoretycznych w antropologii czy o wartości antropologicznego dziedzictwa. Zawsze zaangażowana w sprawy środowiska antropologicznego, w ostatnich dwóch latach włączyła się też w walkę o zachowanie etnologii jako odrębnej dyscypliny naukowej. Po negatywnych decyzjach Ministerstwa w tej sprawie pisała artykuły i listy, nie ustając w staraniach, aby antropologia nadal była rozpoznawana jako osobna gałąź humanistyki. W tym czasie rozpoczęła też dyskusję o tożsamości antropologii jako dyscypliny, o naszej tożsamości jako środowiska naukowego, o metodologii i teorii, które stanowią podstawę naszego istnienia. Tę rozpoczętą dyskusję i walkę o niezależność

In memoriam

będziemy kontynuować już niestety bez profesor Sokolewicz, mając jednak w pamięci jej zaangażowanie i krytyczne spojrzenie.